

Andrzej Drzewiecki

(Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni)

<https://orcid.org/0000-0002-0728-4259>

Oficera marynarki wojennej nie wystarczy wyszkolić, trzeba go jeszcze „uformować”

Słowa kluczowe: oficer, kształcenie, wychowanie, marynarka wojenna, formowanie

Keywords: officer, training, upbringing, navy, development

W bogatym i powszechnie dostępnym zasobie piśmiennictwa morskiego, zwłaszcza w części dotyczącej flot wojennych, dużo uwagi poświęcono szkoleniu i wychowaniu podchorążych, podoficerów i marynarzy. Gdzieś na uboczu pozostał oficer, który jest w tej narracji „konstruktem” pełnym, a wręcz prawie doskonałym. Zresztą tak go widzi nasza beletrystyka wojenna, a po części również literatura piękna, w których oficer kumuluje w sobie wszelkie atrybuty męskości, honoru, odpowiedzialności i oczywiście uroku osobistego. Określenie „dżentelmen w mundurze” było (jest) tylko dopełnieniem owych cnót. W tej narracji nie ma potrzeby zastanawiania się, czy ten wykreowany wizerunek oficera odpowiada codzienności koszarowej i poligonowej, w której mozolnie wykuwa się armia jako podmiot zdolny do wypełniania zadań obronnych. Przecież całe pokolenia wychowały się na losach Zawiszy, Wołodyjowskiego, Kmicica, Kościuszki, Dąbrowskiego, Piłsudskiego i nawet, jeśli od czasu do czasu pojawiają się opracowania, łagodnie rzecz ujmując, „odbrązawiające” ich dokonania, to nie wywołują one jakiegos szerszego odzewu społecznego skłaniającego do rewizji naszej świadomości historycznej. Oni są jej częścią, bo przecież „Polska rodziła się w huku dział”, a jeśli tak, to akuszerem jej narodzin był żołnierz¹. Już to powoduje, że udoskonalamy go, bo jakby ta nasza Polska wyglądała, gdyby jej wskrzesiciel nie uosabiał najwyższych cnót? „[...] bo nic tak ludu nie zachęca do zbrojnych czynów, jak zgrabny wiersz”². Opisywani w nich

¹ Janusz Odziemkowski, *Armia i społeczeństwo II Rzeczypospolitej* (Warszawa: Bellona, 1996), 7.

² Andrzej Kijowski, *Grenadier-król* (Warszawa: Czytelnik, 1972), 34.

bohaterowie przedostają się do „legandy, folkloru, podświadomości, a tu rosną, z upływem wieków tracąc ludzkie i historyczne wymiary”³.

To jedna strona medalu, ale jest też ta druga, mniej optymistyczna, która odsłania „jędzę niezgody”. W *Kopczyku zacnej chwały żołnierskiej* czytamy:

Wcisnęła się, szelma, i to jak na złość – między najwyższe szczyty wojskowej zwierzchności. Wiadomo było, że mianowany nie bardzo wiadomo dlaczego naczelnym wodzem armii Księstwa Warszawskiego znakomity amant i tancerz książę Józef Poniatowski nie cierpi Henryka Dąbrowskiego. Dla nikogo też nie było tajemnicą, że generał Zajączek, postać po prostu nieprzyzwoicie lokajska, który przez cały swój żywot trudnił się głównie lizaniem wszelkich monarszych łap i innej anatomii, pochlebca napoleoński i słuźalec w stosunku do wielkiego księcia Konstantego, kiedy gwiazda napoleońska zgasła – nienawdził wszystkich: i Dąbrowskiego i Poniatowskiego, i szefa sztabu Księstwa Fiszera i Kniaziewicza... Właściwie trudno wymienić osobistość wojskową w stopniu starszym od szeregowca, której by Zajączek nie nienawdził⁴.

Nie jest żadną tajemnicą, że „od zawsze” miała i nadal ma miejsce swoista rywalizacja pomiędzy oficerami różnych broni. A o co? Tak naprawdę o wszystko. O historię, tradycje, zasługi bojowe, prestiż społeczny służby, a nawet powodzenie u płci pięknej. Popełnilibyśmy poważny błąd, uznając, że to tylko historyczne zaszłości, że obecnie, z uwagi chociażby na postępującą feminizację wojska, utraciły one swoją wyrazistość. Tak nie jest i twierdzą z całą stanowczością, że obecność pań-oficerów na pokładach okrętów jeszcze długo będzie kontestowana przez strażników tradycji, że przecież to „męska rzecz”.

„Bosman we flocie jak major w piechocie” to powiedzenie jest czymś więcej niż tylko anegdotą, ma ono swoich zagorzałych zwolenników również dzisiaj. Wielokrotnie dane mi było słyszeć wypowiedzi oficerów w różnych stopniach, od podporucznika marynarki do admirała floty, w których to podkreślano przewagę marynarskiej mądrości i roztropności. Mniejsza strata, gdy takie przekomarzania dodają pikanterii spotkaniom towarzyskim, zdecydowanie gorzej, gdy stają się przedmiotem uzurpacji na gruncie służbowym. Są one wyraźną rysą na wizerunku sił zbrojnych, które skłonni jesteśmy postrzegać jako monolit. I jest coś na rzeczy, a świadczy o tym minione „wojskowe” stulecie, w którym każdy rodzaj sił zbrojnych zapisał swoją historię. Ja oczywiście pozostanę na gruncie flotowym, chociaż zastrzegam, że będę przyglądał się tytułowemu bohaterowi z szerszej perspektywy aniżeli pokład okrętu⁵. Jeśli chcemy, a moim

³ Kijowski, *O dobrym Naczelniku i niezłomnym Rycerzu* (Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1984), 9.

⁴ Lew Kaltnerbergh, *Kopczyk zacny chwały żołnierskiej w dawnej legendzie, dokumencie, porzekadle, opowieści, przekazie, gadce i pamiętniku* (Warszawa: Wydawnictwo MON, 1966), 361.

⁵ Nawiązuję w ten sposób do wyraźnej sugestii prof. Romana Wapińskiego, który uważał, że floty wojennej nie należy oceniać z pokładu okrętu, bo brakuje wówczas właściwej perspektywy. Mówił wprost – trzeba zejść z okrętu i spojrzeć na flotę z zewnątrz, a wówczas dostrzeżemy ją we właściwych proporcjach i zależnościach wynikających z polityki morskiej państwa, tudzież jej braku.

zdaniem nawet powinniśmy, postrzegać oficera jako „obywatela w mundurze”, to nie możemy zamykać go w kubaturze okrętu. Należy starać się dostrzec, w jaki sposób i z jakim skutkiem łączy on wymogi służby z życiem pozasłużbowym. W tych relacjach trzeba jednak zachować odpowiednie proporcje, bo przecież żołnierza, a oficera w szczególności, „przygotowujemy” na czas wojny, a nie pokoju, o czym nie wszyscy chcą pamiętać. Dla oficera czas pokoju ma inny wymiar, eufemistycznie nazywany stanem gotowości. Poniekąd zgadzam się z opinią, że bezczynność niszczy wojsko. Powoduje ona jego demoralizację i w konsekwencji utratę wartości bojowej. Oficer, który traktuje garnizon, sztab, okręt jak zakład pracy, staje się urzędnikiem, jego rytm służby wyznacza biurokracja, a nie potrzeby gotowości bojowej. Zabrzmi to paradoksalnie, ale wielu oficerów pytanych, na czym polega ich służba w czasie pokoju, odpowiada, że wypełnia ją oczekiwanie na wojnę. Cisza szkoleniowa rozlewająca się po poligonach, na morzu i w powietrzu jest zabójcza dla zdolności i sprawności bojowej wojska. Czy kogoś to martwi? Bo ja mam przekonanie, że niespecjalnie. Oficer obrasta w swoje biurokratyczne nawyki, obywatela już dawno przestała interesować kondycja szkoleniowa i bojowa wojska, a polityczni decydenci snują opowieść o strategicznym sojuszu polsko-amerykańskim jako gwarancji naszego bezpieczeństwa. I wszyscy wydają się szczęśliwi. To pozór, bo jak pisze George Friedman, „Amerykanie nie rzucą do walki swoich wojsk, lecz rozpoczną transfer technologii do bloku polskiego, aby mógł on realizować amerykańską strategię o własnych siłach”⁶. Niech to wybrzmi dosłownie „amerykańską strategię”, w której, tak to widzę, nie ma miejsca na wojskowość sentymentalną i przebijającą się w różne kostiumy historyczne, każdy rodzaj Sił Zbrojnych według dyrektyw współczesnej polityki historycznej.

Gdy pozwoliłem sobie na uwagę, że poszczególne rodzaje sił zbrojnych pisały swoją historię, to miałem głównie na myśli Polską Marynarkę Wojenną, której zasługi zdaniem licznego zastępu jej miłośników są pomniejszane, niedoceniane, a czasami wręcz bagatelizowane. W tej sytuacji musiała ona niejako sama zatroszczyć się o swój wizerunek. A miała to szczęście, że naprzeciw tej potrzebie wyszedł znakomity marynista Jerzy Pertek. Sprzyjało jej również to, że wkraczała na dziedziniec historii w klimacie z jednej strony mistyki, z drugiej zaś – realnej szansy dostępu do morza. To nie dekret naczelnika państwa z 28 listopada, ale zmaterializowana wizja wyjścia Polski na morze stała się tym zacznym, który zrodził zapotrzebowanie na flotę wojenną. Trafnie ujął tę kwestię przedwojenny oficer kpt. mar. Tadeusz Borysiewicz, pisząc: „[...] skoro odzyskano dostęp do morza, trzeba było utworzyć organ zbrojny, który mógłby tego dostępu bronić”⁷. Marnym pocieszeniem jest to, że inne nacje również dorabiały nową twarz historii. Gdy Niemcy przegrały I wojnę światową, a ich flota wojenna zapisała mało chlubny rozdział historii, zdecydowano się napisać ją od nowa.

⁶ George Friedman, *Następne 100 lat. Prognoza na XXI wiek*, tłum. M. Antosiewicz (Warszawa: AMF, 2009), 188.

⁷ Tadeusz Borysiewicz, *Moja służba w dywizjonie trałowców*, Wojskowy Instytut Historyczny, sygn. I/3/7, 6.

Zamierzano w niej „odmalować heroiczny obraz wojennych zmaganiań na morzu, uwiecznić dla przyszłych pokoleń dokonania marynarki, a także zapewnić jej rację bytu”, jej przygotowanie wyłączono więc spod cywilnego nadzoru, a zadanie to zlecono wiceadmirałowi w stanie spoczynku Eberhardowi von Manteyowi. Ten wyraził pogląd, że: „Historię powinno się pisać nie z myślą o niszczeniu ducha, ale jego umacnianiu. Dlatego też wyraźne porażki trzeba relacjonować z miłością – historia musi być budująca [...]. Trzeba patrzeć na pisanie historii jak na kształtowanie czyjegoś charakteru. Nie inteligencja, ale właśnie charakter odgrywa (kluczową) rolę na wojnie”⁸. Trudno zakwestionować pogląd, że charakter żołnierza jest wartością absolutnie pożądaną. Jeśli jesteśmy co do tego przekonani, to powinniśmy dokładać wszelkich starań, aby kształtowanie charakterów miało solidne podstawy, również na gruncie historii wojskowej.

Uważam, że nasze doświadczenia w pisaniu „historii krzepiącej” są równie bogate. Wskazuje na to chociażby przekaz (pisemny i ustny) dotyczący historii powstań, wojny polsko-bolszewickiej, kampanii wrzesniowej czy oporu społecznego wobec komunistycznego zniewolenia, który świadczy o tym, że potrafimy „relacjonować je z miłością”. Jest natomiast problem, na który zwrócił uwagę Timothy Snyder, że w Polsce zamiast historii mamy pamięć. Zamiast próby wyciągania wniosków z przeszłości, aby myśleć o przyszłości, mamy celebrację przeszłości. Zamiast dyskusji z Europą mamy przede wszystkim refleksję o samych sobie. To samo widać w niemal całej Europie – narcyzm, myślenie o sobie, podkreślanie, że własny naród jest wyjątkowy i niepowtarzalny. Wszyscy mówią o swojej wyjątkowości i nikt nawzajem się nie rozumie. Na dodatek, jeśli jako naród przestajemy myśleć o wspólnej przyszłości, demokracja również przestaje nas interesować. Albo będziemy bez końca mówić, że jesteśmy wyjątkowi i najbardziej cierpimy, albo przypomnimy sobie, że demokracja czemuś służy i należy myśleć o przyszłości”. Interesująco brzmi pointa jego wyводу: „jeśli jesteśmy dumni z tego, co najlepsze, musimy jednocześnie brać odpowiedzialność za to, co najgorsze. Bycie narodem polega na zachowaniu równowagi między dumą a odpowiedzialnością”⁹.

To powinni mieć na uwadze również maryniści, którzy ulegli zauroczeniu, a nawet zaczadzeniu wielkością „małej floty” w takim stopniu, że stracili wszelkie proporcje w jej ocenie. Niejako na marginesie chcę zwrócić uwagę na rzecz w moim przekonaniu niebagatelną, a wręcz kluczową dla oceny wojska. Najczęściej dominują w niej statystyki, pośród których ginie meritum, że tak naprawdę jest to ocena państwa i jego zdolności obronnych. Armia, mam na uwadze doświadczenia kilkunastu minionych dziesięcioleci, nie jest samozwańczą instytucją, tylko ramieniem zbrojnym państwa, które ją powołuje z wszystkimi tego konsekwencjami. W niesłusznym okresie wygenerowano słuszną myśl, że to „kadry decydują

⁸ Cyt. za: Keith W. Bird, *Kriegsmarine i Raeder*, tłum. Aleksandra Górka (Warszawa: Wyd. Bellona, 2012, 83–84.

⁹ „Unią suwerenni” [z prof. Timothy Snyderem rozmawiał Maciej Nowicki], *Newsweek Polska* 46 (2018): 24–27.

o sile i obliczu wojska”. Tak było w legionach, w II Korpusie, w ludowych siłach zbrojnych i jest nadal w marynarce wojennej. W przywołanym tu sloganie nie budzi wątpliwości kwestia „siły”, polem szczególnych zabiegów było owo „oblicze”. To w ten obszar wkradały się różne przymiotniki, a za nimi ideologia, chyba najbardziej zabójcza mikstura dla wartości i zwartości wojska. Nie jestem do końca przekonany, że dziś uporaliśmy się z tym niebezpieczeństwem. Nie jest nadużyciem teza, że w podwyższonej temperaturze politycznej powracała Polska nad „swój” Bałtyk. Od tego klimatu nie dało się odseparować floty wojennej i stąd procesowi jej tworzenia towarzyszyły trudne pytania o realne możliwości będące w opozycji do palących potrzeb obronnych. Co ważniejsze, ten stan utrzymywał się w całym dwudziestoleciu międzywojennym, nasilił się w czasie wojny, by po jej zakończeniu utracić swoją wyrazistość na rzecz „oblicza”. Dziś wiemy, że łatwiej było dojść do morza aniżeli rozpocząć jego uprawę.

To, co wydawało się tak oczywiste, wcale takie nie było. Złożyło się na to wiele przyczyn, wśród których najbardziej porażająca była obojętność społeczeństwa wobec spraw morskich. „Amariner les Polonais – zmorszczy Polaków” było wówczas naczelnym zadaniem nielicznej grupy ludzi obeznanych z morzem¹⁰. Ale i ono w pierwszej kolejności wymagało przełamania historycznego kompleksu wyrażonego w słowach Sebastiana Fabiana Klonowica: „nie wiedzieć Polak co to może, gdy pilnie orze”¹¹. Kiedy obejmowaliśmy we władanie przyznane nam na mocy traktatu wersalskiego wybrzeże, było ono „zupełnie nieurządzone, nieprzygotowane do spełnienia roli, jaka przypadała mu w udziale. Na całym tym wybrzeżu nie było ani jednego portu, godnego tego miana, nie było także ani jednego statku, na którym powiewałaby polska bandera. Trzeba było tworzyć wszystko od samego początku, od podstaw”¹². W tym kontekście zadziwia odwaga niektórych marynistów, niezmordowanie głoszących tezę o „odtworzeniu marynarki wojennej”. By uciąć te spekulacje, odwołam się do miarodajnej oceny Jerzego Nowakowskiego, który w 1921 r. pisał:

Nasza przeszłość w stosunku do Bałtyku zawiera się w niewielu, a bodaj w jednym tylko słowie: zaniedbanie. Zaniedbała przez długi okres Polska to morze, to okno do świata i historii. Tego zaniedbania my, naród nowoczesny, nie powtórzymy. Nie chcemy zaniedbać losów naszej Ojczyzny, o ile są one związane z morzem i dlatego wszelkich użyjemy wysiłków, ażeby to morze nie tylko utrzymać, lecz także wyciągnąć zeń te korzyści, zarówno materialne, jak moralne, jakie z morza wyciągnąć się uda¹³.

¹⁰ Mieczysław Burhardt, *Na manowcach polskiej ideologii*, Teneryfa, 22 IX 1929 r., mps w posiadaniu autora, s. 28–29.

¹¹ Sebastian F. Klonowic, *Flis*, w *Dzieła Fabiana Sebastiana Klonowica z popiersiem autora*, t. I (Kraków: Józef Czech, 1829), 27.

¹² Henryk Tetzlaff, *Zagadnienia morskiej polityki Polski* (Warszawa: Wydawnictwo Ligi Morskiej i Kolonialnej, 1931), 4.

¹³ Jan Nowakowski, *Odrodzenie floty Rzeczypospolitej Polskiej*, w *Flota Polska*, wydanie pamiątkowe ilustrowane pod protektoratem Szefa Departamentu Morskiego admirała K. Porębskiego (Warszawa: „Odrodzenie Polski”, 1921), 43.

Była to jedna z wielu ówczesnych deklaracji, że tym razem wreszcie staniemy „frontem do morza” i uczynimy zeń odskocznię do mocarstwowości. Jak sądzę, nie podzielał tego entuzjazmu admirał Kazimierz Porębski, skoro zabiegał o to, aby przyszła konstytucja „zawierała kilka doniosłych wytycznych o pracy na morzu tych pokoleń, którym los dał możliwość odrobić grzech przodków”¹⁴. Jego adiutant pisał na tę okoliczność:

Konstytucja 1921 r. została zredagowana bez uwzględnienia próśb ludzi morza. Uwzględniono w niej potrzebę upamiętnienia odzyskania niepodległości przez obietnicę zbudowania świątyni, jako ekspiacji za grzechy dawnych pokoleń. Nic w niej nie masz o mocnym postanowieniu nie grzeszenia, jako to było w ciągu wieków dawnej niepodległości wobec polskiego morza, jego praw i potrzeb. Posłowie tłumaczyli te lukę niemożnością wpojenia w ogół Zgromadzenia Ustawodawczego rzeczy i pojęć tak dlań nowych i obcych¹⁵.

Wnosić z tego możemy, że mylił się Nowakowski w swoim osądzie co do pokolenia, które uważał za nowoczesne i otwarte na morze. I nie mogło być inaczej, bo spuścizna zaborów wraz z następstwami wojny polsko-bolszewickiej pograżała ziemie polskie w głębokim kryzysie na długie lata. Nie ominął on również spraw flotowych i w skrajnej postaci przyznawał rację Gerardowi Labudzie, że „biednego państwa nie stać na flotę wojenną”¹⁶.

Ta przypadłość trawi naszą morską dumę aż po chwilę obecną. Nie chcemy albo nie potrafimy przyjąć do wiadomości, że flota wojenna nie bierze się z dekretów, choćby najśluszniejszych, tylko z uporczywej uprawy morza. Sam dostęp do niego był wówczas warunkiem koniecznym, ale dalece niewystarczającym, by ją zbudować i uczynić zbrojnym ramieniem bezpieczeństwa Rzeczypospolitej na morzu. Zaadoptowaliśmy skądinąd mądrą maksymę francuskiego historyka Louisa Adolphe’a Thiersa, że „marynarka to czas, cierpliwość i ciągłość”¹⁷. Pod nią podłożyliśmy naszą opowieść o „Polsce morskiej”, którą osadziliśmy na dwóch filarach: flocie wojennej i porcie gdyńskim. Entuzjazm towarzyszący ich powstawaniu był tak olbrzymi, że z trudem przebijały się pytania o ich koszty społeczne. A były one olbrzymie i w żaden sposób nie równoważyły potrzeb w zakresie kruchego wówczas bezpieczeństwa. Wszystko, co w tamtych latach było nowe, a wiązało się z morzem, w przekazie propagandowym Ligi Morskiej i Rzecznej (Kolonialnej) urastało do rangi wydarzeń patriotyczno-państwowych. Mam tu na myśli pierwsze podniesienie bandery na okręcie wojennym, pierwsze Dni Morza, pierwszy załadunek i wyładunek w porcie gdyńskim, pierwszy rejs statku pasażerskiego, gdyż

¹⁴ Burhardt, *Na manowcach*, 24.

¹⁵ *Ibidem*, 26.

¹⁶ Gerard Labuda, *Zapiski kaszubskie, pomorskie i morskie. Wybór pism* (Gdańsk: Oficyna CZEC, 2000), 144–145.

¹⁷ Cyt. za: Wacław Krzywiec, *Sprawa obrony morskiej w Polsce w przeszłości i obecnie* (Warszawa: Instytut Wydawniczy Ligi Morskiej i Kolonialnej, 1931), 29.

były one namacalnym dowodem na to, że coś zmienia się w sferze naszej aktywności na morzu. Według Andrzeja Piskozuba „negatywną pozostałością tej epoki była młodopolska egzaltacja ideą morza, „podchodzenie do morza na kolanach”. Maniera ta nie wygasła wraz z epoką, lecz wytworzyła u obcych opinię o mistycznym stosunku Polaków do spraw morza”¹⁸. Takim duchem tchnęła staropolska literatura marynistyczna, z której wyłaniało się „przeświadczenie, wyobrażenie, mit o morzu jako potędze nam obcej, wrażej, miazdzącej bezsilnego człowieka. Zionie ono grozą i lękiem, odstrasza i odpycha, nie nęci wcale przeżyciami dotąd nieznanymi i egzotycznymi”¹⁹.

W pełni zgadzam się z tą opinią i dodam, że trwamy w tym „uścisku mitologii” od jubileuszu do jubileuszu, od zaślubin do zaślubin. Autorzy *Strategicznej koncepcji bezpieczeństwa morskiego RP* nie omieszkali wypomnieć, że obecny marazm flotowy jest spowodowany brakiem świadomości morskiej społeczeństwa²⁰. Pisałem o tym, że jednym z pierwszych postulatów było „zmorszczenie Polaków”. Mieliśmy na to cały wiek, i co? Dobrze się stało, że sprawy morskie pozostały poza konstytucją, bo i grzech mniejszy, i odpowiedzialność można rzucić na naród, jak widać, nie dość nowoczesny. Ale, jak tu zabiegać o nowoczesność, skoro oficera, któremu powierzono troskę o stan floty wojennej zdejmuję się ze stanowiska za to tylko, że publicznie miał odwagę upomnieć się o nowe okręty podwodne. Tę odwagę miał w sobie kadm. Mirosław Mordel, którego nad wyraz trafna była konstatacja o „zawiedzionych marynarskich nadziejach” po raz kolejny²¹. Te słowa najwyraźniej nie pasowały do świątecznego nastroju Dni Morza i dętego jubileuszu dekretu o powołaniu „Marynarki Polskiej”, a chcemy wierzyć w to, że „prawda nas wyzwoli”.

Okazało się, że minister wie lepiej, czego potrzebuje flota, dlatego, dymisjonując Inspektora Marynarki Wojennej, radykalnie uciął wszelkie spekulacje o jej przyszłości. A wypada tu przypomnieć, że proces zaniedbywania tego rodzaju sił zbrojnych ma już stuletnią metrykę. Kilka nowych okrętów zbudowanych w dwudziestolecu międzywojennym nie uprawnia do snucia optymistycznych prognoz. Powtórzę, bo pisałem o tym w innym miejscu, że wszystkie programy budowy floty, przedwojenne i powojenne, włącznie z obecnymi, mają wspólną cechę – żaden z nich nie został wykonany²². Podkreślam to, gdyż nie można floty wojennej analizować i oceniać „po kawalku”, albo ona jest, albo jej nie ma. Jeśli jest, to oznacza,

¹⁸ Andrzej Piskozub, *Polska morska. Czyn XX wieku* (Gdańsk: Wydawnictwo Morskie, 1986), 6.

¹⁹ Roman Pollak, *Uroda morza w polskim słowie* (Poznań: Wydawnictwo Zachodnie, 1947), 14.

²⁰ Zob. *Strategiczna koncepcja bezpieczeństwa morskiego Rzeczypospolitej Polskiej* (Warszawa–Gdynia: Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, 2017).

²¹ Mikołaj Chrzan, *Inspektor Marynarki Wojennej ukarany za mówienia prawdy*, <https://trojmiasto.wyborcza.pl/trojmiasto/7,35612,23586758,inspektor-marynarki-wojennej-ukarany-za-mowienie-prawdy.html> [dostęp: 30 VI 2018].

²² Szerzej na ten temat: Andrzej Drzewiecki, *Polska Marynarka Wojenna od Drugiej do Trzeciej Rzeczypospolitej. Studium bezpieczeństwa morskiego państwa* (Gdynia–Oświęcim: Napoleon V, 2016).

że państwo ma na nią pomysł, ma siły i środki, by ją zbudować, utrzymać i modernizować. I wreszcie – troszczy się o jej kadry, szkoląc je, wychowując i zapewniając warunki do utrzymania w odpowiedniej dyspozycyjności. Na nic zdadzą się patriotyczne „zakłęcia” i miłe ojczyźnie gesty, jeśli marynarz swego nie wystrzela, nie wypływa, nie przećwiczyna na morzu, co i tak będzie za ledwie namiastką tego, co niesie ze sobą wojna. Były dowódca Marynarki Wojennej (MW), a następnie minister Obrony Narodowej wiceadm. Piotr Kołodziejczyk przewidywał, że zaniedbywanie morskiego rodzaju SZ „przyniesie oplakane skutki i skończy się tym, że marynarkę trzeba będzie tworzyć od nowa, a to już jest niesamowicie długi, czasochłonny i kapitałochłonny proces”²³.

Mimo poczynionych powyżej uwag jest w tym wszystkim jednak pewna wartość, którą należy dostrzec, zrozumieć i na ile to możliwe, ocenić. Mam tu na myśli oficerów, już kilku pokoleń, którzy wpisują się w ową „ciągłość”. To są ci, którzy kładli pierwszą stępkę pod flotowe dzieło i ich następcy, którzy na wzburzonym morzu dziejów XX w. starali się o to, by biało-czerwona nigdy nie została splamiona. Czy to się udało? W moim przekonaniu tak, chociaż są autorzy mający w tej sprawie odmienny pogląd²⁴. Każdy, kto zajmuje się wojskiem, ma świadomość tego, że czynnik osobowy odgrywa w nim jedną z najistotniejszych ról. Uzbrojenie i wyposażenie, nawet to najbardziej skomplikowane, można kupić, ale żołnierza, a zwłaszcza oficera, trzeba wyszkolić i wychować. Wincenty Witos w jednym ze swoich wystąpień sejmowych w 1919 r. podkreślał: „Armia musi być żrenicą narodu, armia musi być z narodem związana i pomiędzy nią a społeczeństwem nie może panować jakikolwiek separatyzm. [...] Nie chciałbym, aby ci, którzy są żrenicą tego narodu i dla których jesteśmy z całym szacunkiem, stali się specjalną kastą, która by poza sobą niczego nie uznawała”²⁵. Nawiązywał w ten sposób do ustawy rządowej z 3 maja 1791 r., w której zapisano: „Wojsko nic innego nie jest, tylko wyciągnięta siła obronna i porządna z ogólnej siły narodu. Naród winien wojsku swemu nagrodę i poważanie za to, iż poświęca się jedynie dla jego obrony. Wojsko winno narodowi strzeżenie granic i spokojności powszechnej, słowem winno być jego najsilniejszą tarczą”²⁶. Wcześniej, w 1790 r., w *Przestrofach dla Polski* Stanisław Staszic wyłożył istotę obrony narodowej, którą „powinna być powszechna moc narodu. Ta nikomu być udzieloną nie może. Więc, z bezpieczeństwem praw człowieka tylko sami obywatele być swojego kraju obrońcami powinni: obrona kraju jest to ubezpieczenie praw ludzi, wolności i własności

²³ *Wodowanie Admirala* [z admirałem Piotrem Kołodziejczykiem rozmawia M. Ziemiański] (Warszawa: Editions Spotkania, 1995), 42.

²⁴ Zob. Mariusz Borowiak, *Plamy na banderze* (Gdańsk: Alma-Press, 2017).

²⁵ Cyt. za: *Witosowe przesłania*, wyboru dokonał i wstępem opatrzył Janusz Gmitruk (Warszawa: Muzeum Ruchu Ludowego, 2017), 14.

²⁶ *Konstytucje w Polsce 1791–1990*, wybór i oprac. Tadeusz Kołodziejczyk, Małgorzata Pomianowska (Warszawa: „Przemiany”, 1990), 18.

obywatelskich; więc obrona kraju nie powinna mieć nawet podobieństwa możliwości szkodzenia tym prawom²⁷.

Uważam, że zbyt słabo te zależności eksponujemy, a przecież są one tak oczywiste – jaki naród, takie wojsko. Tak było w 1920 r. i tak jest dziś! Generał Stanisław Haller pisał: „Społeczeństwo nasze instynktownie odczuwa, że między narodem a armią harmonia istnieć powinna, bardzo niewiele jednak osób się dokładnie tą kwestią zajmuje i zdaje sobie sprawę z tego, dlaczego tak być powinno²⁸”. U progu niepodległości nie bez powodu narodowcy zastanawiali się, „czy społeczeństwo dyletantów rozumie potrzebę współczesnej armii, konieczność specjalistycznych studiów itd. Pamiętamy, podkreślano, że jedynymi formacjami, z którymi mieliśmy do czynienia, była bojówka partyzancka albo oddział partyzancki²⁹”. Uczniem historii wojskowej, na co zwracał uwagę Marian Kukiel, nie jest wojsko, tylko „naród cały, szukający w niej pokarmu dla wyobraźni i serca, przykładu poświęcenia, ofiarności duchowej siły³⁰”.

To nie jest tak, że młody człowiek aplikujący do szkoły wojskowej, przekraczając jej bramy, wyzbywa się wszelkich nawyków i przyzwyczajzeń wyniesionych z domu rodzinnego i środowiska społecznego. One są z nim i w nim, a nawet więcej, towarzyszą mu przez cały okres jego edukacji wojskowej. I stąd to moje podkreślenie, że siłą wojska jest „powszechna moc narodu”. Wbrew temu, co mówił Witos, armia i naród trwały w swoistym separatyzmie aż do 1989 r. Nie mogło być inaczej, bo za często wojsko było na usługach władzy i polityki, a rugi kadrowe były po to, by ten stan utrzymać. Jest to jedna z tych ciemnych kart historii wojska, którą niespecjalnie chcemy się zajmować, być może dlatego że każda władza przy uroczystych deklaracjach o apolityczności rezerwuje sobie „przywilej” trzymania wojska za „twarz”. A tą twarzą są oficerowie, którzy w ostatnich stu latach przywykli do tego, że się ich obraża, zwalnia ze służby, słownie linczuje, a w skrajnych przypadkach nawet bezczęści mundur³¹. Owe niecne praktyki skrywa narracja o bohaterstwie i życiu złożonym na „ołtarzu Ojczyzny”, o niedzieleniu krwi żołnierskiej, o szacunku do... No właśnie, do kogo, do wszystkich czy tylko swoich. Powiem to bardzo wyraźnie, język polityki historycznej orze bardzo głęboko tkankę wojska i odziera je z godności. Niech to wybrzmi mocno, żołnierz nie wybiera

²⁷ Stanisław Staszic, *Przestrogi dla Polski*, oprac. Stefan Czarnowski (Warszawa–Wrocław–Kraków: Ossolineum, 2008), 24–25.

²⁸ Stanisław Haller, *Naród a armia* (Kraków: Nakładem Księgarni Krakowskiej, 1926), 5.

²⁹ Jan Hłasko, „Po przesileniu”, *Przegląd Narodowy* 6/XX (1920): 818.

³⁰ Marian Kukiel, *Studia historyczne. Wybór artykułów z lat 1909–1939*, wybór i oprac. Tomasz Siewierski (Warszawa: Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej, 2019), 211.

³¹ W skali masowej były to „typowe” reakcje społeczne na mundur żołnierski po wydarzeniach grudnia 1970 r., a następnie w latach stanu wojennego. Chcę wyraźnie powiedzieć, że w jednym i drugim przypadku żołnierz nie wyszedł na ulicę samodzielnie, taką decyzję podjęły ówczesne władze i to one ponoszą pełną odpowiedzialność za to, w jaki sposób zostało użyte wojsko. Dla współcześnie pełniących służbę płynie z tego pewna nauka, władza się zmienia, a swąd po niej pozostaje niczym „ostrzy cień mgły”.

przełożonych, nie wybiera pola bitwy, nie wybiera przeciwnika, jest w służbie narodu i państwa, które nim dysponuje według potrzeb. Jego powinnością jest służyć narodowi, bo tak stanowi przysięga i ślubowanie oficerskie, które tu przytaczam w całości:

Wierny przysiędze wojskowej, świadom godności oficera Wojska Polskiego,
składam Tobie Ojczyzno, uroczyste ślubowanie.
Będę Ci służył zawsze, wszędzie i w każdej potrzebie.
Będę stał niezłomnie na straży bezpieczeństwa bytu narodu i państwa.
Będę strzegł i pomnażał chlubne tradycje bohaterskich walk o niepodległość i sprawiedliwość.
Będę sumiennie i odpowiedzialnie wypełniał powierzone mi obowiązki,
wychowywał i szkolił swych podwładnych na prawych i dzielnych,
zdyscyplinowanych i sprawnych żołnierzy.
Będę dbał o honor i dobre imię żołnierza polskiego.
Dobro Rzeczypospolitej jest moim prawem najwyższym.
Nigdy Cię nie zawiodę, Ojczyzno³².

Mam wrażenie, że w sprawach wojskowych nadal jesteśmy „społeczeństwem dyletantów”, które nie chce albo nie potrafi głębiej wniknąć w naszą wojskową przeszłość, chociażby po to by zrozumieć, jak bardzo była ona zagmatwana i tak na dobrą sprawę jedynym niekwestionowanym jej atutem było bohaterstwo żołnierza. Mam tu na myśli szeregowych, podoficerów i oficerów młodszych stopni, bo wśród wyższej hierarchii wojskowej już wcale nie było to takie oczywiste. Jak pisał z frontu płk. Józef Jaklicz:

Nasz żołnierz jest dobry i bitny choć za krótko jest w polu, żeby stał się zahartowany na ogień taki, jaki miał miejsce w wojnie światowej. Jednak wytrzyma on wszystko, jeśli będzie miał pewność, że czuwa nad nim oficer, będący przy nim stale i dzielący z nim wszystko, a takich oficerów jest może 20–30%. Reszta to hołota, niewarta miana oficera. [...] Przyjechawszy do pułku, zastałem kilku oficerów bez dystynkcji i stwierdziłem, że zdjęli je ze strachu, bo bolszewicy wziętych do niewoli oficerów rozstrzelują. Czy żołnierz może mieć do takiego oficera zaufanie? Mam w pułku kompanie po 120 ludzi prowadzone tylko przez jednego oficera, w innych pułkach prowadzą kompanie nawet sierżanci. Normalnie powinno być czterech oficerów na kompanię. A jednak falangi oficerów kręcą się beczynnie na naszych tyłach, po etapach i improwizowanych szkołach i o nich Naczelne Dowództwo w dzisiejszym rozgardiaszu nic nie wie i nie może ich zmusić, by poszli na front. Ich psim obowiązkiem jest pójść, choćby uciec na front, dziś nikt nie zatrzymuje oficera w sztabie, ale oni wczepili się jak wesz kożucha dobrego dekunku i wolą żyć w państwie, którego granicą będzie Bug, wolą nawet gnić w jarzmie pruskim czy rosyjskim, byle tylko nie zginąć, albo nie być rannym. Mam więcej szacunku dla głupiego umysłowo oficera czy szeregowca,

³² <https://wkunowytarg.wp.mil.pl/pl/pages/slubowanie-oficerskie-2020-01-16-f/> [dostęp: 10 II 2020].

który czynem stwierdza, że jest Polakiem wolnym i bije się za wolność i chce za tę wolność zginąć, niż dla wielce wykształconego inteligenta, który wygłaszać będzie mądre i długie sentencje, sprzeczać się i krytykować rząd czy Naczelne Dowództwo czy dyplomację, zamiast wziąć karabin, stulić gębę i iść się bić³³.

O tym, że takie zdarzenia miały miejsce, utwierdza nas także opinia gen. Władysława Sikorskiego: „A czy nie obserwowaliśmy w lipcu 1920 r. nawet i takich, na szczęście bardzo nielicznych oficerów, którzy pamiętając przykre chwile przeżyte wśród zbuntowanych żołnierzy zaborczych armii, zrywali lub zakrywali skrzącymi swe epolety oficerskie, by według swej naiwnej i tchórzliwej rachuby schlebiać masie żołnierskiej, której drgnień duszy nie odczuwali, ani nie pojmowali zresztą nigdy przedtem”³⁴. Według opinii Tadeusza Hołównki: „Weszły do armii polskiej całe zastępy zrussyfikowanych i zaustriaczonych oficerów, którzy są całkowicie przesiąknięci duchem panującym w tych armiach, a tak dalekim od wzorca oficera–obywatela. Na domiar złego, wskutek tragicznej doli narodu polskiego, znaczna część obecnych oficerów polskich przez kilka lat walczyła ze sobą – będąc we wrogich armiach, co pomimo wszystko pozostawia pewien przykry osad w ich wzajemnych stosunkach”³⁵. „Olbrzymia część polskich oficerów – czytamy w kolejnej opinii – okazała się zupełnie nieprzygotowana do pracy moralno-etycznej nad duszą żołnierza, nie znała historii i geografii naszej, nie umiała nawet mówić po polsku”³⁶. Komandor Eugeniusz Pławski na postoju w Lublinie w czasie swojej podróży do Polski odnotował: „mundury austriackie, niemieckie, rosyjskie, legionowe oraz różnych polskich oddziałów i stowarzyszeń – cała ta „międzynarodówka” była żywym dowodem tragicznej polskiej przeszłości, natomiast orzełki oraz biało – amarantowe przepaski i wstążeczki świadczyły o narodzinach Wolnej Polski. Wszyscy jechali do Warszawy, do polskiego wojska, do wojska Wolnej Polski”³⁷. A to wojsko było różne, bo inne być nie mogło. Postrzegany przez wielu jako wzór oficera kadm. Witold Zajączkowski po objęciu stanowiska dowódcy kompanii „zbornej” w Toruniu tak oceniał swoich podwładnych:

Moja kompania składała się z wybiórków ludzkich najgorszego gatunku. Dużo było poniemieckich podoficerów i marynarzy, zrewoltowanych, złodziei, rabusiów lub też słabych na umyśle, jako grupa podstawowa, jeżeli nie liczebnie, to w każdym razie nadająca charakter całej kompanii. [...] Utrzymać całe to bractwo w karbach bez

³³ Józef Jaklicz, „Żołnierz 2-giej Rzeczypospolitej”, *Zeszyty Historyczne* 35 (1976): 136–137.

³⁴ Władysław Sikorski, *Nad Wisłą i Wkrą. Studium z polsko–rosyjskiej wojny 1920 roku* (Lwów–Warszawa–Kraków: Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, 1928), 220.

³⁵ Tadeusz Hołównko, *Oficer polski* (Warszawa: E. Wenda i S-ka, 1921), 21–22.

³⁶ Eugeniusz de Hennig-Michaelis, *W zamęcie: przyczynek do historii formacji polskich w Rosji 1917–1918* (Warszawa: Gebethner i Wolff, 1929), 29.

³⁷ Eugeniusz Pławski, „40 lat temu – wspomnienia”, *Nasze Sygnały* maj–grudzień (1959): 23.

rozstrzelania kilku na postrach innym było niepodobieństwem. Kary aresztu nie pomagały. To też więzienia wojskowe i areszty garnizonowe były przepełnione³⁸.

Tych kilka przykładów użyłem tu z pełną świadomością, traktując je jako zaproszenie do namysłu nad stanem spraw żołnierskich, a oficerskich w szczególności. Inspiracją była refleksja frontowego żołnierza, płk. Mariana Porwita: „Kto był na wojnie, ten wyczuwa, ile blagi kryją nieraz pamiętniki i literatura wojenna, a zwłaszcza powojenna. Ciche porozumienie pozwala zapomnieć o epizodach niezaszczytnych, stroić zaś w piękne barwy zdarzenia, którymi zwłaszcza żyjący mogą się pochwalić. Taka jest natura ludzka”³⁹. Nie jest moim celem zmienianie na siłę „natury ludzkiej”, ale chciałbym bardzo wyraźnie powiedzieć, że nie każdy oficer był (jest) obdarowany „najwyższymi zdolnościami”⁴⁰. A to, że nosi mundur jeszcze niczego nie przesądza. Ponad wszelką wątpliwość twierdzę, że jedną z najbardziej pożądanых cech oficera jest lojalność, której nie należy postrzegać w kategoriach uległości wobec przełożonych. Będę do tej kwestii powracał, gdyż uważam, że utonęła ona w powodzi różnych bogoojczyźnianych zakłęb, w które na siłę próbujemy wpasować oficera. Wysyp biografii, a najczęściej hagiografii oficerskich po 1989 r., upstrzonych dopiskami w rodzaju nieugięty, niezłomny, bohaterski, wyjątkowy, tylko potwierdzają moje spostrzeżenie, że forma zdominowała treść.

Nie kryję, że moja wrażliwość na zagadnienia kadrowe datuje się od czasu, gdy kilka lat temu zwróciłem się z prośbą do grupy admirałów, aby zechcieli porozmawiać ze mną o sprawach flotowych i morskich. Wyrazili na to zgodę, a jednym z ważnych wątków tych rozmów były właśnie sprawy kadrowe, a jeszcze precyzyjniej rzecz ujmując, oficerskie. I to nie dlatego, że mobilizował do tego jakiś jubileusz, tylko była to próba uchwycenia i zrozumienia logiki kadrowej morskiego rodzaju sił zbrojnych. Szczególnie zastanowiła mnie wypowiedź adm. floty Ryszarda Łukasika, który odnosząc się do procesu wychowawczego realizowanego w Akademii Marynarki Wojennej, podkreślał, że jego istotą jest „ciągłe poszukiwanie odpowiedzi na pytanie: kim ma być i jaki ma być oficer Polskiej Marynarki Wojennej?”⁴¹. Jest to pytanie o kapitalnym znaczeniu, przede wszystkim dlatego że odpowiedź na nie wymaga ciągłej aktualizacji, a wymusza ją dynamika zmian na morskim teatrze działań wojennych. Ale nie tylko, bo zmienia się również „materiał ludzki” aplikujący do szkół wojskowych, który, poddany tytułowemu „formowaniu”, stanowi o jakości morskich kadr oficerskich, a patrząc szerzej, wojska jako całości. W potocznym rozumieniu Oficerska Szkoła Marynarki Wojennej (WSMW, AMW)

³⁸ Witold Zajączkowski, *Lata młodości i wojna światowa na Bałtyku* (Toronto 1970), 171–172.

³⁹ Marian Porwit, *Duch żołnierski (organizacja wychowania żołnierza)* (Warszawa: Drukarnia Narodowa w Krakowie, 1935), 16.

⁴⁰ Szerzej na ten temat zob. Andrzej Chwalba, *Legiony Polskie 1914–1918* (Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2018).

⁴¹ Autoryzowany wywiad z admirałem floty w stanie spoczynku Ryszardem Łukasikiem, mps w posiadaniu autora, s. 4.

realizuje zadania dwojakiego rodzaju. Ma przygotować absolwenta (ppor. mar.) w zakresie specjalistycznym, wymaganym na pierwszym stanowisku służbowym (dowódcy działu okrętowego), oraz wychować go w określonym systemie wartości, wśród których patriotyzm, honor i godność zajmują poczesne miejsce. Admirał Łukasik zwrócił uwagę na to, że tego kandydata, a później również oficera, nie wystarczy „wyszkolić i wychować”, trzeba go jeszcze „uformować”⁴².

Wybrzmiało to tak, jak byśmy rozmawiali nie o szkole oficerskiej, lecz seminarium duchownym. Co ważne, Admirał nie zaprzeczył, bo wspomniana tu instytucja ma olbrzymie tradycje formacyjne i nie należy wzbraniać się przed sięganiem do jej doświadczeń, jeśli miałyby one pomóc w przygotowaniu oficerskich kadr morskich godnych najlepszych wzorców osobowych. Postawmy zatem pytanie, czy takie wzorce na gruncie morskim mamy. Wiem, że jakiegokolwiek wahania z mojej strony, by dać pozytywną odpowiedź, będą odczytywane z pomrukiem niezadowolenia. Dla mnie stan oficerski to nie hurtownia, w której liczy się ilość, bo kosztuje mniej. Tak, w polskim wojsku mamy nadmiar oficerów i dlatego ich się nie szanuje. Gdy rozpoczynałem swoją służbę w marynarce wojennej, spotkanie z admirałem było dla oficera wydarzeniem nadzwyczajnym i wiedział ten oficer, że musiało zająć coś absolutnie wyjątkowego, skoro wydarzenie absorbuje uwagę pierwszego marynarza. W ostatnich latach niektórym zarzucano, iż złośliwie wytykali, że admirałów jest więcej niż okrętów. Nie to jest istotą problemu, bo zawiera się on w rozstrzygnięciu, czy stanowiska oficerskie mają we flocie racjonalne uzasadnienie, czy może tworzone są w oderwaniu od realnych potrzeb i sprawiają złudne wrażenie jej powagi. Gdyby tak było, to cały proces kształcenia, wychowania i „formowania” byłby osadzony na lotnym piasku. Musi też przemówić argument ekonomiczny, że przygotowanie oficera marynarki wojennej jest przedsięwzięciem kosztownym i podatnik polski ma prawo wiedzieć, jak wydawane są jego pieniądze⁴³. Zanim jednak oświetlę istotę owego „formowania”, przywołam kilka kadrowych epizodów, które pozwolą zrozumieć, że mamy do czynienia z materią nader wrażliwą. Oficer to też człowiek, który ma zdolność odczuwania i jest zupełnie naturalne, że służąc, chce być doceniany, wyróżniany, awansowany. Oczywiście, może, a nawet powinien być pociągnięty do odpowiedzialności, jeśli sprzeniewierzył się zasadom, pod którymi złożył podpis, pieczętując je swoim honorem.

Nie mam wątpliwości, że Polska Marynarka Wojenna u progu swych „narodzin” była w nietypowej sytuacji. Brała się ona z braku wcześniejszych flotowych doświadczeń. Z przyczyn uzasadnionych tematem nie interesują mnie wydarzenia z okresu *dominium maris*, chociaż uważam, że w sprawach oficerskich niewiele

⁴² *Ibidem*.

⁴³ W roku akademickim 2020/2021 zaplanowano przyjąć do wszystkich szkół wojskowych 1411 osób. Pięcioletnie studia tej grupy osób według ministerstwa ON miały kosztować 579 287 000 zł, co w przeliczeniu na jednego kandydata generuje wydatki w wysokości 410 550 zł, <https://www.defence24.pl/uczelnie-wojskowe-czekaja-na-1411-nowych-podchorazych> [dostęp: 15 I 2020].

by wniosły. Uwagę moją przykuwa „wielka wojna”, która uaktywniła organizatorską myśl wojskową. To prawda, że tym wojskiem była często „przypadkowa zbieranina”, ale z niej wyłoniły się legiony, peowiaci, dowborczycy, błękitna armia, w które angażowali się ludzie różnych środowisk społecznych i profesji zainspirowani czynem niepodległościowym. A kadra dowódcza? W dużej mierze odpowiadała tej egzotyce. Tak o niej pisze Andrzej Chwalba:

W pierwszych miesiącach 1919 r. wielu polskich generałów i wyższych oficerów wyraziło gotowość służby Polsce, co tylko mogło cieszyć. Pochodzili z trzech armii zaborczych, z korpusów polskich w Rosji, z Legionów Polskich, Armii Hallera, Polskiej Siły Zbrojnej. [...] Generałowie i oficerowie zostali uformowani w różnych szkołach dowodzenia, wynieśli z macierzystych formacji odmienne wojskowe – i nie tylko – nawyki i obyczaje. Różnił ich język. Nie wszyscy byli w stanie dobrze wysłowić się po polsku. Od początku ujawniły się między nimi napięcia prowadzące do sporów oraz oskarżeń, i to nieraz rzucanych publicznie⁴⁴.

W tym samym czasie nad Bałtykiem była cisza. To ona prowokowała do kawiarnianych anegdot w rodzaju „na północy może morze, może nie”. Trafnie tę atmosferę oddawały słowa ministra Mariana Seydy: [...] kiedy my szczęśliwi już od roku cieszymy się złotą wolnością, Pomorze nasze, choć traktatem wersalskim przyznane, do dziś jeszcze czeka wyzwolenia⁴⁵. Gdy w 1919 r. zarysowano pierwsze kontury przyszłej floty, oficerowie kawalerii, a nawet piechoty z kpiną w głosie komentowali: „Z równym powodzeniem możecie planować podróż na księżyc⁴⁶. Co najwyżej możemy się domyślać, jak deprymujące było oczekiwanie na rozstrzygnięcie kwestii pomorskiej, która miała otworzyć Polsce drogę na morze. Eksplozja radości wybuchła w styczniowy poranek 1920 r., gdy nad Zatokę Gdańską dotarła wieść, że oto Polska doszła do morza. Nawet wyjątkowo mroźna pogoda nie przeszkodziła mieszkańcom, którzy tłumnie wylegli na plażę i zanurzeni po piersi w wodę, z otwartymi ramionami „witani przybliżające się fale Bałtyku, które znowu łamały się na polskim wybrzeżu⁴⁷. I jak tu nie rozczulić się takim widokiem.

Zgoła odmienna atmosfera już od kilku miesięcy panowała w Warszawie, do której licznie ciągnęli oficerowie z byłych flot państw zaborczych. Klęska Austro-Węgier i Niemiec oraz rewolucja w Rosji pozbawiły Polaków służących w tych flotach możliwości dalszej służby. Nic tak żołnierza nie buduje, jak zwycięstwo. A tu nie dość, że klęska, to jeszcze narastający stan niepewności. W takiej to atmosferze liczna grupa Polonusów, od podporucznika do kontradmirała, meldowała się w Warszawie z nadzieją, że tu zostaną zagospodarowane ich wiedza i praktyczne

⁴⁴ Andrzej Chwalba, 1919. *Pierwszy rok wolności* (Wołowiec: Czarne, 2019), 137.

⁴⁵ Cyt. za: Jerzy Łukaszewski, *Pomorza historie mniej znane* (Łódź: Dom Wydawniczy „Księży Młyn”, 2014), 207.

⁴⁶ „Na śmierć Admirała”, *Nasze Sygnały* 129, styczeń–maj (1973): 9.

⁴⁷ Alan Palmer, *Północne sąsiedztwo. Historia krajów i narodów Morza Bałtyckiego* (Warszawa: Książka i Wiedza, 2008), 343.

umiejętności. Był to korpus osobowy niemający swojego odpowiednika w polskiej tradycji wojskowej i może dlatego wzbudzał tyleż ciekawości, co i podejrzliwości. Obserwujący swoich współtowarzyszy kpt. mar. Mieczysław Burhardt poczynił taką oto uwagę: „Dopiero tu [w Warszawie – A. D.] pojąłem jak głębokie różnice poglądów, umysłowości, a nawet manier towarzyskich, już nie mówiąc o akcentach mowy – wyrzyły wśród nas granice zaborów. Wystarczyło mi jednego kwartału w tym swoistym konglomeracie, by zrozumieć, iż wiele lat upłynie, zanim te różnice, te ohydne ślady rozbiorów Polski znikną, a posiew jedności narodowej zrobi z nas jednolity łań⁴⁸. Na odmiennosc mentalności, stylu pracy, tradycji, nawyków i przyzwyczajzeń środowiska oficerskiego zwrócił uwagę kadm. Jerzy Kłosowski. Z kilkunastoletniej perspektywy ocenił, że „były to dwa światy, tak różne, że całe dwudziestolecie nie wystarczyło, aby ślady tego antagonizmu całkowicie zatrzeć⁴⁹.”

Podobny niepokój ogarniał płk. mar. Bogumiła Nowotnego, którego stosownym dekretem wskazał Józef Piłsudski na szefa sekcji Marynarki przy Ministerstwie Spraw Wojskowych. W swoich wspomnieniach napisał:

[...] sytuacja obecnych w stolicy beczynnych oficerów i marynarzy stawała się z każdym dniem coraz krytyczniejsza, a moje interwencje w Ministerstwie Spraw Wojskowych i w intendenturze, aby wypłacono nam pobory i wyasygnowano fundusze konieczne dla wyżywienia około sześciuset ludzi, były bezskuteczne. [...] w połowie stycznia 1919 r. udałem się do kierownika M. S. Wojsk. i oświadczyłem mu kategorycznie, że jeżeli marynarze pozostaną nadal beczynni, to dłużej nie gwarantuję, że zapanuje spokój i bezpieczeństwo, ponieważ pewna ich część – podburzona przez zbolszewiających marynarzy rosyjskich i spartakowców niemieckich – jest zdolna do wszystkiego⁵⁰.

To potwierdza moje wcześniejsze spostrzeżenie, że beczynność niszczy i demoralizuje wojsko. Ci marynarze mieli za sobą cztery lata wojny, która jak to w mocnych słowach określił admirał Ernest Joseph King, obudziła „wszystkich skurczysynów⁵¹. Ilu z nich wystąpiło w tej roli, nie wiemy, ale niepohamowany temperament, który objawił się w stolicy, a następnie w Modlinie, wskazywał, że demoralizacja postępowała. Warunki społeczne sprzyjały jej, bo tak naprawdę „rządził wówczas krajem głód, nędza i zimno oraz nastrój nadziei⁵²”. W Warszawie

⁴⁸ Mieczysław Burhardt, *Wspomnienia z Departamentu Spraw Morskich i Kierownictwa Marynarki Wojennej w latach 1919–1928*, mps, Archiwum Muzeum Marynarki Wojennej (AMMW), sygn. R 17, s. 5.

⁴⁹ Jerzy Kłosowski, *Wspomnienia z Marynarki Wojennej* (Warszawa: Wydawnictwo MON, 1970), 157.

⁵⁰ Bogumił Nowotny, *Wspomnienia*, red. Stanisław Kudela, Walter Pater, Józef Wąsiewski (Gdańsk: Oficyna Wydawnicza Finna, 2006), 178.

⁵¹ Eliot A. Cohen, John Gooch, *Błędy i pomyłki w wojnach XX wieku*, tłum. Marian Baranowski (Warszawa: Bellona, 2010), 92.

⁵² Jan Brzoza [B. Skaradziński], *Polski rok 1919* (Warszawa: Przedświt, 1987), 119.

panował wówczas chaos i nikt oficjalnie nie zajmował się marynarzami, odnotował Nowotny. W jego ocenie „brak sprawnej organizacji zniechęcił wielu dzielnych marynarzy do służby w wojsku. [...] Nie było jeszcze żadnej marynarki wojennej ani handlowej”⁵³.

Wielu zastanawiało się, jak zapanować nad żywiołem ludzkim tak różnorodnym i niesfornym, którego obiektywne koleje losu wyłączyły z walk o niepodległość. To nie ich wzywano, tylko oni szukali bandery, pod którą mogliby się zaciągnąć. Znakomity oficer i gawędziarz kadm. Eugeniusz Pławski pisał:

Przez dłuższy okres czasu pokutowały wśród nas wszystkich różne ambicjki i uczucia terytorialnego patriotyzmu. Dzieliłiśmy się nie tylko na grupy zaborcze, ale nawet wśród tych grup byli lepsi i gorsi. „Bałtyjec” uważał siebie za coś lepszego od „Czarnomorca”, a już taki „Kaspijec” – był zupełnie pośledniego gatunku. Wśród grupy rosyjskiej był również podział na tych, co ukończyli „Korpus Morski”, czyli wywodzili się z „białych gardemarynów”, i tych, co byli z „czarnych gardemarynów”, a już ci wszyscy, co kończyli szkoły i kursy powstałe w czasie wojny lub pochodzili z „junkrów floty” – byli to oficerowie z najczarniejszych kości, żeby nawet mieli po trzy uniwersytety za sobą⁵⁴.

Pisałem już wcześniej, że w 1920 r. Polska stanęła nad pustym brzegiem Bałtyku. Nie było okrętów, a w ówczesnym Sejmie Ustawodawczym najliczniejsze stronnictwo ludowo-narodowe ostentacyjnie eksponowało sztandar, na którym widniała dewiza „od morza do morza”⁵⁵. Decydenci wojskowi nie wiedzieli, jak zagospodarować kilkuset marynarzy pacyfikujących Warszawę, a politycy po puckich uroczystościach zaślubin przenieśli ich atmosferę do sejmu, bo jak zauważył Burhardt, „morze nasze było i jest czymś, o czym modnie jest mówić, ale zmusić do wykładania nań milionów i miliardów – nie ma komu”⁵⁶. By już nie wracać do tej kwestii, dopowiem, że „szpanowanie morzem” stało się w naszym kraju rytuałem politycznym. Obiecują prezydenci, premierzy, ministrowie i to jest jeden z tych powodów, dla których Polska Marynarka Wojenna marnieje w oczach.

Często podkreślamy, że największym kapitałem rodzącej się floty byli oficerowie. Jesienią 1921 r. po zakończeniu gromadzenia i weryfikowania ludzi morza byłych państw zaborczych okazało się, że mamy 242 osoby personelu oficerskiego pozostałego w służbie czynnej i 964 szeregowych zawodowych wszystkich stopni w czynnej służbie i rezerwie. Co istotne, gros tych marynarzy, bo 70%, przyszło z floty rosyjskiej, 25% z austriackiej i zaledwie 5% z byłej niemieckiej⁵⁷. W tym samym roku miała miejsce weryfikacja kadrowa, której celem było ujednoczenie

⁵³ Nowotny, Pamiętniki, mps, AMMW, sygn. R-603, 12.

⁵⁴ Pławski, „40 lat temu – wspomnienia”: 27.

⁵⁵ Burhardt, *Na manowcach*, 25.

⁵⁶ *Ibidem*, 23–24.

⁵⁷ Mieczysław Burhardt, *Admirał i lejtnanci*, Cap Frio, 30 IX 1929 r., mps w posiadaniu autora, s. 34.

stopni oficerskich, przyznanie kadrze oficerskiej należnych stopni, ustalenie starszeństwa w służbie i wprowadzenie czytelności korpusów osobowych. Ujmując rzecz statystycznie, w marynarce wojennej pełniło wówczas służbę 168 specjalistów morskich, w tym: trzech admirałów, dwóch generałów, siedmiu komandorów, 12 komandorów poruczników, 26 komandorów podporuczników, 28 kapitanów, 61 poruczników i 23 podporuczników⁵⁸. W świetle powyższego nie podzielałam poglądu o „szczególnie dotkliwych brakach kadrowych w korpusie morskim”⁵⁹.

Bo gdzież tu „problemy kadrowe”, skoro była to flota bez okrętów i wyraźnie określonych struktur organizacyjnych? Jeśli już, to wystąpiły one dopiero w latach trzydziestych, gdy do służby wchodziło kolejno pięć okrętów podwodnych, a następnie cztery niszczyciele i ORP „Gryf”. Część kadry zasilała rozrastające się struktury organizacyjne, zwłaszcza samego kierownictwa MW i dowództwa floty. W początkowym okresie organizacyjnym problemem było to, że

zgromadzony w Polsce korpus pokładowy oficerów marynarki posiadał jeden fatalny brak: nie było w nim ani jednego oficera, poza obydwoma admirałami, który by dowodził choćby małym krążownikiem lub dywizjonem torpedowców. Staż dowodzenia 4 komandorów poruczników był mniejszy od wielu lejtnanckich, i tylko jeden austriacki mógł się poszczycić takim stażem, jak dowodzenie monitorem na Dunaju! Wyglądało to gremium oficerów morskich jak postać, posiadająca tęgą głowę i nogi, a zamiast reszty kadłuba była próżnia. Miało to ujemne skutki od samego momentu zebrania tych ludzi do kupy: autorytetem cieszył się tylko Admirał – reszta – uważała siebie za równorzędnych⁶⁰.

Tyle o korpusie pokładowym, a co z technicznym? W ocenie Burhardta

wyglądał on od pierwszego dnia wspaniale. Był to największy skarb, jaki po zaborcach odziedziczyło polskie morze. Co najważniejsze – zgromadzili się w nim ludzie dojrzałym wiekiem – wszyscy z pełnym stażem kierowniczym. Liczyliśmy 3 prawdziwych asów nowoczesnej techniki budowy okrętów, profesorów wyższych uczelni technicznych. Przybył do nas i taki biały kruk, jak kierownik basenu doświadczalnego, uczony o światowej sławie. Już nie mówiąc o starszyźnie tego korpusu, która w 70% miała najwyższe studia naukowe techniczne za sobą – wszyscy oficerowie tego rodzaju broni morskiej byli inżynierami dyplomowanymi i zajmowali bardzo wysokie kierownicze stanowiska u zaborców. Przyszli w stopniach oficerskich, sztabowych i generalskich, uzyskanych przez wieloletnią zawodową pracę. Ironią polskiej rzeczywistości było, że gdy weryfikacja lat 1920–1921 przysporzyła pokładowym stopni i galonów, przemianowała wczorajszych lejtnantów zaborczych w komandorów polskich, stara

⁵⁸ Jarosław Tuliszka, *Wyższa kadra dowódcza Polskiej Marynarki Wojennej II Rzeczypospolitej* (Toruń: Adam Marszałek, 2000), 46–47; Andrzej Drzewiecki, *Adam, Aleksander i Borys Mohuczowie w służbie Polskiej Marynarki Wojennej* (Toruń: Adam Marszałek, 2005), 81.

⁵⁹ Dariusz Nawrot, *Akademia Marynarki Wojennej. Zarys dziejów 1922–2012* (Pelplin: Bernardinum, 2012), 13.

⁶⁰ Burhardt, *Admirał i lejtnanci*, 35.

brać techniczna ledwie dała się umieścić z dawnymi stopniami zaborczymi w ramy możliwości etatowych Departamentu i podległych mu oddziałów. Fakt, że ci wybitni fachowcy mający łatwą możliwość obrania w Polsce innej drogi, rokującej bardzo lukratywną płacę, woleli pozostać w służbie morskiej, niemającej żadnych widoków pod tym względem – świadczy jak najchwalebniej o patriotyzmie tych ludzi. Niestety – pointował Burhardt – morski personel techniczny ma we wszystkich marynar-kach świata znikomy głos, gdy chodzi o ogólne kierownictwo administracją i polityką morską⁶¹.

W tym stanie rzeczy wszystkie kwestie, od organizacyjnych, poprzez szkole-nie, aż po okręty, urastały do rangi pilnych. Oczywiście wiele z nich, zwłaszcza w segmencie budownictwa okrętowego i infrastruktury morskiej, pozostawało poza możliwościami państwa. Gdy kwestionuję tak ochoczo podnoszone „braki kadrowe”, to wcale nie oznacza, że nie dostrzegam potrzeby integracji środowiska oficerskiego, a zwłaszcza ujednoczenia jego poglądów i zapatrywań na zagadnienia organizacyjne, szkoleniowe i operacyjno-taktyczne. Dla powodzenia „morskiego dzieła” należało je doprowadzić do stanu, w którym idea wspólnej służby przeważałaby nad osobistymi ambicjami i animozjami oraz obciążeniami wyniesionymi z doświadczeń flotowych państw zaborczych. Potrzebne tu były czas i czepliwość, bo przecież „dopiero po zakończeniu wojny (polsko–bolszewickiej), bieg myśli naszej marynarki zaczął przybierać logiczną i racjonalną drogę, m.in. wytknął on jako jeden z pierwszych zasadniczych punktów konieczność stworzenia szkoły, które by dokształcała tych oficerów, którzy z racji przewrotu bolszewickiego w Rosji, nie zdążyli zakończyć swych studiów lub zyskali przedwczesny stopień oficerski z dodatkiem «czasu wojennego»”⁶². Admirał Porębski żywił uzasadnione obawy, że bez pozytywnej mobilizacji całego środowiska marynarka wojenna w porów-naniu do wojska pozostanie „liliputem”⁶³.

Bez zaklinania ówczesnej rzeczywistości przyznać trzeba, że nim była. W woj-nie, która na kolejne 20 lat „ustawiła” politykę wojskową, marynarzy wysłano na front odległy od Bałtyku, a główny sprawca zwycięstwa spod Warszawy zdecydowanie niechętnie odnosił się do spraw morskich i flotowych. Jego krwiste porów-nanie pierwszych programów jej rozwoju do „budowania latarni w Pacanowie” było wymownym świadectwem tego, że bliższa mu była polityka wschodnia aniżeli bałtycka⁶⁴. Po krótkotrwałym zauroczeniu sprawami morskimi przysłała refleksja, czy korpus oficerski tworzącej się floty jest wystarczająco narodowy i Polski. Zważmy, jak mocno w literaturze przedmiotu wyeksponowano te wszystkie pokłady polsko-ści, które zaważyły na tym, że „budząca się do niepodległości” Polska stała się dla

⁶¹ *Ibidem*, 36.

⁶² Stefan Frankowski, „Historia Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej”, *Przegląd Morski* 1 (1928): nr 11.

⁶³ Brunon Jabłoński, „Wywiad, czyli służba szpiegowska”, *Nasze Sygnały* lipiec–grudzień (1971): 13.

⁶⁴ Julian Rummel, *Narodziny żeglugi* (Gdańsk: Wydawnictwo Morskie, 1980), 55.

licznego grona oficerów służących we flotach zaborczych wręcz wyzwaniem. Jest w tym wielkie nadużycie, owszem, byli oficerowie, którym dom rodzinny zapewniał namiastkę polskości, ale byli też tacy, którzy mowy ojczystej nie znali, gdyż „zrodzeni częstokroć z matek Rosjanek”, nie mieli warunków, by się jej nauczyć⁶⁵. Dla tych stu kilkudziesięciu oficerów była to pod każdym względem zupełnie nowa sytuacja. Już to, że każdy z nich przechodził weryfikację, a w sytuacjach budzących wątpliwości poddawał się werdyktowi Oficerskiego Trybunału Orzekającego, było z jednej strony urągające godności oficerskiej, z drugiej zaś – konieczne dla dobra służby.

„Dobro służby” jest określeniem bardzo pojemnym i w moim przekonaniu jednym z najbardziej szkodliwych, gdyż nawet największe draństwo popełnione na gruncie służbowym można nim usprawiedliwiać. Przecież wspomniane wcześniej rugi kadrowe czynione były i są dla „dobra służby”, podobnie jak przeniesienia służbowe, wyznaczanie na stanowiska, mianowania czy wreszcie nagradzanie i karanie, o ile są podejmowane wbrew interesom wojska. Bo to, że oficer ma być dyspozycyjny, nie może budzić najmniejszych wątpliwości. W mojej refleksji już wcześniej posłużyłem się terminem „lojalności”, który wywołuję ponownie, gdyż uważam, że nie poświęcamy mu należytej uwagi. A dla wojska i w wojsku ma on kapitalne znaczenie. Gdy mówimy o przysiędze i ślubowaniu oficerskim, to najczęściej eksponujemy ich wymowę patriotyczną i zakorzenienie w tradycji. I dobrze, ale warto byłoby podkreślić również, że jest to najgłębszy akt lojalności żołnierza wobec swojej Ojczyzny. W hierarchicznej strukturze wojska moglibyśmy wskazać przynajmniej kilka poziomów lojalności, ale ma ona sens tylko wówczas, gdy motywuje żołnierza do największego wysiłku i to nie w imię dość mgliście definiowanych motywacji patriotycznych, ale po to, by wesprzeć swojego współtowarzysza służby ze świadomością, że w ten sposób wykonanie zadania ma większą szansę powodzenia.

Każdy oficer powinien dokładać starań, by tę cechę rozwijać u swoich podwładnych, a zaczynać od siebie, bo przecież to ona zaważy na tym, czy i jak pod jego dowództwem wykonają zadanie bojowe. W literaturze odnotowano piękne słowa Piłsudskiego skierowane do generałów „dowodźcie w ten sposób, by szły za wami serca a nie buty żołnierskie”. Uważam to za jeden z filarów dowodzenia – tak zawładnąć sercem i umysłem żołnierza, by poszedł za swoim dowódcą nie dlatego, że ten wydał mu rozkaz, lecz za jego przykładem. W tych kilku zdaniach zawiera się istota „formowania”. Można żołnierzowi dać do ręki najnowocześniejszą broń, ale to jeszcze nie oznacza, że zachce jej on użyć tak, jak byśmy tego oczekiwali. Nie wystarczy odwaga, gdy nie ma motywacji. A co z patriotyzmem? Przemaszają do mnie słowa Bohdana Tomaszewskiego, który wręcz apelował o to, aby było tak zwyczajnie, po ludzku, przecież „patriotyzmu nie trzeba demonstrować

⁶⁵ Burhardt, Wspomnienia z Departamentu, s. 10.

rano i wieczorem”⁶⁶. Nie trzeba go również demonstrować na polu walki, ważne, by motywował i nie blokował rozsądku.

Akademia Marynarki Wojennej może wznieść na wyżyny nauczanie astronawigacji, wszelakich broni morskich, elementów sztuki wojennej, podstaw dowodzenia i wielu innych, ale zawsze pozostanie pytanie, czy jej absolwenci są tymi oficerami, których flota potrzebuje. Czy są odpowiednio zmotywowani i otwarci na proces „formowania”. Ileż to pozytywnych opinii wypowiedziano o przedwojennej Oficerskiej Szkole Marynarki Wojennej, sam takie formułowalem, ale dziś dostrzegam potrzebę głębszej refleksji, czy były one słuszne, czy nie doprowadziły do tego, że podchorąży ledwie co przywdzieje mundur, a już czuje się przynależny do elity. A rzeczywistość jest bardziej złożona. Podchorążych, których uczyłem, pytam na kilka miesięcy przed promocją, co przez cztery lata swoich studiów przeczytali o marynarce wojennej, tej, w której chcą służyć. I odpowiada mi głucha cisza. A przecież wiedza o mojej flocie powinna być pomostem wspomnianej wcześniej ciągłości. Powinna motywować i wzmacniać poczucie przynależności. Ale też uczyć odpowiedzialności.

Ileż to razy słyszałem, że armia ma być otwarta na społeczeństwo, wszak, przynajmniej w teorii, uosabia jego najwyższe przymioty. W aktualnie obowiązującym *Kodeksie honorowym* zapisano:

1. Godność żołnierza zawodowego, to wartość wypływająca z szacunku dla samego siebie, poczucia dumy z przynależności do społeczności wojskowej i podjęcia szczególnych zobowiązań wobec Ojczyzny,
2. Honor żołnierza zawodowego to postawy i działania, które znamionują uczciwego i prawego człowieka. Jest źródłem jego czci oraz moralnych wartości środowiska zawodowego,
3. Fundamentalnymi cnotami żołnierza zawodowego są: patriotyzm, męstwo, uczciwość, odpowiedzialność, sprawiedliwość, prawdomówność i solidarność zawodowa⁶⁷.

I pięknie, i mądrze, żeby tylko jeszcze naród zechciał oddać swych najlepszych synów wojsku, a wówczas z wielkim opóźnieniem, ale osiągnęlibyśmy to, co zostało zapisane w Ustawie Rządowej z 3 maja 1791 r. Realizm podpowiada mi, że to niemożliwe. Spisane i pokoleniowo przekazywane opowieści o zaszczytach służby wojskowej są niczym innym, jak zakłamywaniem rzeczywistości. One stały się substytutem wojska, którego na usługach Rzeczypospolitej zawsze brakowało. „Mała flota wielka duchem” jest ich symbolicznym wycinkiem i krzepi serca nawet dziś, gdy flotowe dzieło nie ma godnego promotora. Szorstko, ale prawdziwie skomentował to Ludwik. Stomma:

⁶⁶ „Żyliśmy historią” [z Bohdanem Tomaszewskim rozmawiał Andrzej Fąfara], *Polska Zbrojna* 9 (2014): 119.

⁶⁷ Kodeks honorowy żołnierza zawodowego Wojska Polskiego, *Dziennik Urzędowy Ministra Obrony Narodowej* z 2008 r., Nr 5, poz. 55.

Jedna jest tylko kategoria, która umyka wszelkim oskarżeniom, od której złemu językowi precz: – nasze, narodowe wojsko. Nasz zsakralizowany żołnierz, wcielenie narodowego ducha, jest i musi pozostać poza jakimikolwiek rozliczeniami, oskarżeniami i kpinami. Musi, choćby rejterował, przegrywał i wszelką wykazał nieudolność, pozostać czysty, niezłomny i szlachetny. Nasz żołnierz (rycerz, powstaniec) nie zdradza, nie dezerteruje, nie tchórzy, nie gwałci, nie łupi, chyba że w jakichś zupełnie marginalnych, a więc niegodnych wspomnienia przypadkach. Dlatego też w razie klęski i sromoty odnaleźć trzeba winnych spoza szeregów tej szarej piechoty, przed którą „drzewa salutują”, i tych ułanów, którzy „przybyli pod okienko”⁶⁸.

Ktoś mógłby powiedzieć, jakie to szczęście, że flota wojenna jest poza kręgiem tych podejrzeń. Nic bardziej mylnego. Ona kumuluje w sobie wszystkie bóle polskiej wojskowości, a przez szczupłość jej sił nabierają one dodatkowej ostrości. Nie byliśmy potentatem w budownictwie okrętowym i pewnie nim nie będziemy. To nie jest powód do mnożenia kompleksów, tylko sygnał, że współcześni decydenci powinni przestać obiecywać marynarzom „latarnię w Pacanowie”. Lojalność i formowanie, którym poświęciłem tu sporo uwagi, nie przebiegały w naszej flocie bezkolizyjnie. „Jaki naród, takie wojsko” – powtarzam to nie bez powodu, bo spróbujmy sobie wyobrazić dziś armię wolną od podziałów, kłótni i „wojny polsko-polskiej”, której jesteśmy świadkami. Zamiast buławy marszałkowskiej nasz żołnierz dźwiga w swoim plecaku historyczne trupy, które nie wiedzieć czemu ciągle wskrzeszamy. Deklarujemy wychowanie na tradycjach, ale wprzód je filtrujemy, chcemy się odciąć od niechlubnej przeszłości, ale ona powraca w innej postaci. „Formowanie” to stan, w którym oficer ma wpływ na swoje miejsce służby, a gdy próbuje o nie zadbać, to usuwa się go ze stanowiska.

Zamiast rzeczywistej ciągłości, przybiera ona barwy polityczne, z szansą dla tych, którzy biegle i trafnie odczytują koniunkturę. Tak postąpił w 1925 r. adm. Jerzy Świrski. Dał dowody skrajnego braku lojalności wobec Porębskiego, po czym dobrawszy sobie ślepo uległych i posłusznych współpracowników, „dowodził” flotą do 1947 r. To on swoimi decyzjami spowodował, że ten skarb, który odziedziczyła Polska Marynarka Wojenna po flotach zaborczych, nie został wyzyskany tak, jak można było tego oczekiwać. Skrajne opinie sugerują, że zwolnił ze służby wszystkich oficerów, którzy swoją wiedzą i doświadczeniem stanowili dla niego potencjalne zagrożenie. Coś było na rzeczy, skoro dynamika zwolnień poczęła budzić podejrzenia inspektora armii gen. Stanisława Burhardta-Bukackiego, który w protokole poinspekcyjnym napisał: „[...] szef KMW nie wyzyskuje zupełnie oficerów dyplomowanych i nawet niechętnie odnosi się do pewnych poczynań z ich strony (zabronił dyskusowania kwestii taktycznych, utworzenia koła oficerów

⁶⁸ Stomma, *op. cit.*, 183.

dypłomowanych. Naganne było również przeniesienie przez szefa KMW w stan spoczynku wielu dobrych oficerów⁶⁹.

Grunt pod „sanację” marynarki wojennej przygotował ówczesny kadm. ppor. Józef Unrug, który w liście do gen. Władysława Sikorskiego (ministra Spraw Wojskowych) napisał:

Do dziś dnia [był maj 1925 r. – A. D.] znajduje się w służbie czynnej marynarki wojennej cały szereg oficerów, bądź to pod względem fachowym, bądź moralnym, niekwalifikujących się dla swoich stanowisk. Oficerowie ci, o których wiadomo, że pożytku służbie nie przynoszą, hamując postęp i paraliżując wysiłki i prace jednostek lepszych, powodują dalsze zło, mianowicie brak podstawowego ducha dyscypliny i podporządkowania się bezwzględnie jednemu celowi: dobru służby dla kraju⁷⁰.

To rzecz niebywała, że podwładny wiceadm. Porębskiego z pogwałceniem elementarnych zasad kindersztuby pisze list do ministra Spraw Wojskowych i obrzuca w nim błotem całe środowisko. Oczywiście, całe zdarzenie inspirował Świrski, który widział się w roli szefa kierownictwa Marynarki Wojennej, ale najpierw trzeba było wysadzić Porębskiego. Afera minowa stała się ku temu doskonałą okazją. Nie będę wchodził w jej zawiloci, bo nie jest ona tu istotna, a jeśli ją przywołuję, to tylko dlatego, że odsłania ona cały mechanizm niszczenia ludzi oraz ich życiowego dorobku. A wszystko dla „dobra służby”.

Czytam i słyszę w różnych wystąpieniach, że zmiany kadrowe, nawet te najgłębsze, były (są) konieczne, a po części i korzystne, bo dały szansę na odmłodzenie korpusu oficerskiego, by wreszcie był on swój, narodowy, już bez obciążeń zaborczych. Pewne racje można tu uznać, o ile mieszczą się one w długookresowej polityce kadrowej. Tak, kształcimy oficerów z tą myślą, że zastąpią swoich starszych kolegów i wniosą do służby powiew świeżości, uzasadniony dokonującymi się zmianami w sferze technicznej, operacyjno-taktycznej i myśli wojskowej. Ale tym młodym oficerom należy stworzyć warunki, by „dorośli” do nowych zadań i wyzwań, by ich przejście na wyższe stanowiska służbowe nie dokonywało z pogwałceniem norm i zasad, które „wkładano” im do głów na etapie studiowania. Jak się czuje oficer, któremu tyle mówiono o honorze, godności, poszanowaniu starszych stopniem i służbą, odpowiedzialności, etyce, a nagle staje się on uczestnikiem, a po części sprawcą zdarzenia, które burzy jego wcześniejsze wyobrażenie o wojsku. Podkreślam tu słowo „sprawca”, bo jeśli dałeś się wciągnąć w intrygę, to musisz wiedzieć, że stajesz się jej zakładnikiem. Podwładni to czują i wiedzą, że ich dowódca wyniosły na szczyty hierarchii wojskowej nie jakieś szczególne

⁶⁹ „Raport w sprawie Marynarki Wojennej” gen. bryg. Stanisława Burhardt-Bukackiego z 23 XII 1935 r., Centralne Archiwum Wojskowe, akta Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, sygn. 302.4.1942, s. 7–8.

⁷⁰ List kadm. ppor. Józefa Unruga do gen. Władysława Sikorskiego z 10 V 1925 r., Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum Sikorskiego, sygn. MAR.A.1/18, zespół akt Kierownictwa Marynarki Wojennej, s. 2.

przymioty, tylko układy, które na ogół mają krótki żywot. Ich konsekwencje trwają dłużej. To tak, jak z lojalnością, budujemy ją latami i przez pokolenia, bo nie da się jej zadekretować, a niszczymy jednym nieodpowiedzialnym pociągnięciem.

Przywykliśmy do tego, że „wojsko to męska rzecz”, a skoro tak, to po męsku należy rozwiązywać sprawy, które przeszkadzają w codzienności. Różni się ona specyfiką, inna jest w akademii wojskowej, inna na okręcie, a jeszcze inna w jednostce nadbrzeżnej. To z nią zderza się absolwent AMW, ppor. mar., który po uroczystej promocji podejmuje służbę na swoim pierwszym stanowisku. Z doświadczenia wiem, że dla wielu młodych oficerów to zderzenie jest szokiem. Człowiek o wielkich zaletach umysłu i charakteru, wykładający podchorążym istotę przywództwa, Wincenty Karawajczyk, zwykł mawiać: „tu się zaczyna wojsko, a kończy logika”. Zgadzam się z jego subtelną oceną rzeczywistości koszarowej i okrętowej. Czy powinniśmy ją na siłę zmieniać, uszlachetniać? Wydaje mi się, że nie, powinniśmy natomiast eliminować z niej wszelkie skrajności, zwłaszcza językowe i obyczajowe, które odczłowieczają żołnierza.

By nie być źle zrozumianym, chcę wyraźnie podkreślić, że w procesie tytułowego „formowania” nie jest naszym celem przygotowanie absolwenta na koszarowe czy okrętowe „niespodzianki”, chcemy mieć oficera otwartego, wrażliwego, odważnego, bezkompromisowego, który stawia im czoła z poczuciem godności. Istotą „formowania” jest cel. I tu posłużę się przykładem. W 1990 r. zostałem powołany w skład zespołu wiceministra ds. społecznych i parlamentarnych, którego zadaniem było opracowanie kodeksu honorowego oficera WP. Było to uzasadnione tym, że po zmianach 1989 r. utraciły moc wcześniejsze dokumenty normatywne i trzeba było tę lukę wypełnić. Na jednym ze spotkań zespołu jego przewodniczący zaproponował dyskusję, jak widzimy oficera i jak chcielibyśmy go w tym docelowym kodeksie opisać. Być może ciekawe czasy i dobór osób tego zespołu spowodowały, że ruszyła lawina pomysłów, kim oficer powinien być, jakimi echami się wyróżniać, co sobą reprezentować itd. Miałem za sobą już spore doświadczenie wojskowe i powiem szczerze, wydawało mi się to nie do udźwignięcia. To, co mnie wówczas zbudowało, to wypowiedź jednego z uczestników spotkania, wiekowego profesora – etyka, który gdy już lekko emocje opadły, zapytał, o czym my tu rozmawiamy? I powiedział: oficer to ma być przede wszystkim „zawodowy morderca”! Były to mocne słowa, których ja nigdy wcześniej nie usłyszałem, a przecież byłem wojskowo edukowany.

Tak, ten profesor nie pomylił się. Łatwo jest wymyślać kolejne cechy oficera, że przystojny, wrażliwy, mądry, odczytany, kulturalny, honorowy itd., a przecież to ma być szermierz na współczesnym polu walki. Docelowo może się znaleźć w sytuacji, gdy o jego życiu zadecyduje to „zawodowstwo”. Ten przykład podaje podchorążym i widzę, jak silne wywiera on wrażenie. I powstaje pytanie, czy kształtując cechy dowódcze i przywódcze naszych absolwentów, staramy się im wyjaśnić, że powinniśmy o ich „zawodowstwie” rozmawiać, bo zależy nam na tym, żeby z pola walki powrócili jako zwycięzcy. Żeby wreszcie zmienić to myślenie, że każdy polski czyn zbrojny musi być okupiony niewspółmierną ofiarą żołnierskiej krwi.

Żeby „formować”, trzeba mieć odpowiedni „materiał” ludzki. A z tym już jest poważny problem, a będzie jeszcze poważniejszy. Nie wnikając w przyczyny, powiem, że szkoły wojskowe utraciły moc przyciągania. Taki kryzys „powołań” dotknął również Akademię Marynarki Wojennej. Maturzyści obojga płci chcą w niej studiować, ale po jej ukończeniu gros z nich chce służyć na okrętach, bo one są najdostojniejszą częścią floty wojennej. I tu dotykamy istoty problemu. Na marynarkę wojenną trzeba patrzeć całościowo, od pomysłu na nią, zakotwiczonego w polityce morskiej państwa, aż do jego faktycznej realizacji. Akademia jest jednym z ogniw flotowej struktury i nie zmienia tego stanu to, że od kilkunastu już lat kształci na cywilnych kierunkach studiów. Była, jest i pozostanie morską uczelnią wojskową, która ma dać flocie wykształconych i odpowiednio zmotywowanych absolwentów. Nie powiem „uformowanych”, bo jest to proces, który ma swój początek w Akademii, a kończy się wraz z przejściem oficera w stan rezerwy. Uczelnia ma „rozpalić” ciekawość floty i służby w niej, a „formowanie” ma służyć temu, by oficer odnalazł w sobie motywację do systematycznego samodoskonalenia.

Pointą tych refleksji niech będą słowa adm. Kazimierza Porębskiego, którego dążeniem było, by oficerów „wychowało morze i okręty, a nie ORP «Fotel»”⁷¹. To ważne i dlatego nie spieszmy się z „witaniem podchorążych w elitarnym gronie”. Dajmy im czas, by sami w sobie odkryli motywację i zrozumieli, że to dopiero początek trudnej drogi formacyjnej.

Andrzej Drzewiecki

It is not enough to train a naval officer, he needs to be “developed”

The history of the Polish Navy reveals a multitude of events concerning personnel matters, which in turn introduce us to the issues of loyalty and what I referred to as “development” in the title. By and large, we know quite a lot about the training and education of senior officers, although it may be that we look at the process too superficially and fail to see that it is not woven with exclusively positive values. In my article I raise that we are often saddled with misconceptions concerning the officer’s service, which we want to view in the pantheon of national glory, with the officer emerging as the embodiment of the superior soldierly and civic virtues. I referred to the Government Act – Constitution of 3 May 1791, but only to the extent of reiterating that „the army is a force drawn from the people” and stating “like nation, like army”. I attempted to strongly emphasize the principle of loyalty, because I believe that it gets lost in the maze of diverse qualities that we tend, often uncritically, to attribute to officers, and I considered “development” as one of the most serious challenges, because it essentially determines what officers guard our security.

⁷¹ Mieczysław Burhardt, Przewrót majowy i jego skutki, Terschelling-Bank, 3 II 1929 r., mps w posiadaniu autora, s. 52.